Petit-Kontr…

Z bieżącego piśmiennictwa angielskiego.

W powodzi książek, zalewających dzisiejszą niwę piśmiennictwa angielskiego, czytelnik orjentuje się dość łatwo, mianowicie dzięki temu, że wszystkie większe dzienniki mają stałą, doskonale obsługiwaną rubrykę sprawozdań z nowości literackich, niemal każdej książce – o ile nie podpada wyraźnie pod jakąś specjalną kategorję – poświęcają krótszą lub dłuższą notatkę, treściwie ujętą, i wyszczególniają wybitniejsze dzieła pióra. Podczas gdy u nas – porównanie narzuca się tu imperatywnie – w dziennikach znajdujemy raczej wszystko niż sprawozdanie z książki, gdy artykuły rzadko się pojawiające (drukarz) są widocznie samem sobie celem, w Anglji każde takie sprawozdanie czy artykuł nacechowane jest tylko chęcią poinformowania czytelnika o odnośnej książce. Wyraża się w tem dokładnie i dobitnie racjonalny, praktyczny John Bull. [A kto bliżej przyjrzał się redakcji tyczącej sprawozdań, z zdumieniem zauważy, że treściwość i objektywizm dążą się tu przedewszystkiem i dochodzą do idealnych granic. Poprostu nie ma w nich ani słowa za wiele; wszystko co zakrawałoby na subjektywne spostrzeżenia, doboku książki będące, i wszystko co razićby autora i czytelnika pierwszym wszczypliwości i zjadliwości, jednem słowem wszystkie dłużyzny i wycieczki czy to w krainę fantazji czy w zakulisową sferę osobistą – wykreśla skrupulatnie ołówek kontrolera redakcyjnego.

Korzyść z tej metody i procedury dziennikarskiej leży jak na dłoni. Nawet najzwyklejszy londyński ~~[illegible]~~ businessman, dla którego istotnie czas to pieniądz, znajdzie czas w wagonie wiozącym go rano w serce Londynu, do City,

2/ na pociszkanie Tainu sprawozdanie, w którymże nikt nic nie gada tylko — mówi, odpowiadając na pytanie: co to za książka? W naszych artykułach o książkach — o ile pojawiają się — przechodzą zwykle w gazetach niepostrzeżenie, nikt ich nie czytuje, czując, że autorowi chodziło nie o poinformowanie go o książce, lecz o napisanie ładnego artykułu, o olśnienie burżujów, jak powiedziałby Francuz. Jakoż w rezultacie stan rzeczy jest tutaj taki, że zarówno ogół czytający jak rzesza piszących błądzą zdezorjentowani w mgle bez drogowskazów.

Dzięki tejże, rozumnie i konsekwentnie prowadzonej służbie informacyjnej wyłaniamy ostatnio grube tomy w [londyńskich] kołach piśmienniczych a najgrubszą w tej chwili — w podwójnym sensie tego słowa — jest tutaj „Życie Benjamina Disraelego, hrabiego Beaconsfielda" z portretami i ilustracjami, albo raczej pierwszy okres jego życia od roku 1804, w którym Disraeli ujrzał światło dzienne w Londynie jako syn dość lekkomyślnego autora „Dziwactw w literaturze", aż do roku 1837, gdy powieściopisarz i niezmordowany polemista dopiął celu swoich zabiegów — zasiadł w izbie gmin.

„The Life of Benjamin Disraeli" nie wyszło z pod pióra jego sekretarza, który po prostu utonął w morzu pozostawionego materjału biograficznego, i dlatego życiorys pojawia się dopiero teraz, gdy wybitny mąż stanu przeszedł do historji i nawet cała jego era zamarła u wrót nowego stulecia. Biograf: William Flavelle Monypenny stoi na stanowisku widza tylko zainteresowanego i bawiącego się przedmiotem obserwacji. Unika wszelkich admonicyj pod adresem dawno zmarłego, wystrzega się niedyskrecyj i wycieczek moralizatorskich, jakby

3/ to udało się i naszym biografom Szopena i Sło-
wackiego. Natomiast naśladuje wydobyć
istotnego Disraelego z kurzawy anegdot i
mitów, jakimi z czasem omotano wielkiego
przewódcę torysów. A przecież delikatnie
podkreśla i uwydatnia ośmieszne rysy jego
charakteru. Z istotnym zajęciem przyglądamy
się postaci późniejszego premiera angielskiego,
który o własnej sile a właściwie dzięki zgrab-
ności, inteligencji, ambicjami podsycanej, jako
prawdziwy „self made man" wybił się z
nizin na „najwyższe w państwie stanowisko.
Cała jego filozofia życiowa ujawnia się
w książce.

Benjamin odebrał wychowanie zupełnie
takie jak przeciętny młodzieniec londyński,
potem poświęcił się prawu. Wkrótce jednak
porzucił je, umieścił się w przedsiębiorstwo
handlowe a gdy stracił w krótkim czasie
znaczny kapitał — począł pisać powieści. Pier-
wsza jego powieść, wydana anonymowo pod
tytułem „Vivian Grey" ośmiesza koła torysa-
rystokie, chłoszcze je subtelną satyrą, jakiej
nie podejrzewał nikt w dwadzieścia i jeden
lat liczącym, pretensjonalnie ubranym
młodzieńcu, robiącym wrażenie lekkoducha.
Rzucił się w wiry polityki bez protekcji
bez atutów w ręku, począł pracować łokcia-
mi. Metoda ta, nieraz praktykowana nie
byłaby z pewnością odniosła sukcesu, gdyby
na dnie jej nie spoczywały bardzo wybitne
zdolności. Nie zbywało mu na pewności siebie
— o nie! Przeciwnie pewna arogancja cechowała
tego podpadającego ubranego, krzykliwego mło-
dzieńca. Z rozwianą chorągiewką stanął w
polemiczne boje, mianowicie z irlandczykiem
O'Conell'em i tak zyskał — rozgłos, jakiemu
zawdzięczał pewne wzięcie w łonie torysów
oraz mandat poselski.

Na wiele ciekawych szczegółów tej książki, będący

4/ pierwszą częścią życiorysu Disraelego, zaznaczamy zastanę, z tego względu, iż osobistość ta nie budzi już dzisiaj silniejszego zajęcia, jako nieaktualna, w cieniu zapomnienia pogrążona.
Kto baczniej wpatruje się w nastrój życia politycznego w Albionie, i w Erynie, sięgnie po nowe dzieło Michała Mac Carthy'ego: „Irlandzka ziemia i irlandzka wolność" (Irish Land and Irish Liberty – by Michael J. F. McCarthy) Tego znanego powieściopisarza a zarazem b. przewódcy nacjonalistów irlandzkich w izbie gmin, zacnego Justina Mac Carthy wyświetla w tej cennej pracy zawiłą sprawę agrarną, pałającą od tak dawna na Zielonej wyspie, i maluje nam żywemi barwami tę część ludności irlandzkiej, która dotąd na łasce i niełasce landlordów, zwykle nieobecnych, przeobraziła się dzięki potężnym wysiłkom notawadawczym kilku gabinetów angielskich w istotnych właścicieli uprawianej ziemi. Jako zagorzały katolik Mac Carthy podkreśla fakt, że wyrugowano z Irlandji protestanckiego landlorda i na jego miejsce wprowadzono rzymsko-katolickiego farmera.
Książka poświęcona Byronowi, który tak potężny wywarł wpływ na poezję naszą, zasługuje z pewnością na wyszczególnienie, zwłaszcza, że być może, iż – jak to nieraz bywa – polecona nam przez Paryż i Berlin ukaże się kiedyś w polskim przekładzie. A rzecz to w treści niezmiernie ciekawa, bo odsłaniająca kotarę na – miłości wielkiego kochanka. Tytuł: The Love Affairs of Lord Byron by Francis Gribble.
Słusznie zaznaczała Mr. Gribble, że czy książka nosi tytuł: Miłości lorda Byrona" czy „Życie lorda Byrona" wychodzi to prawie na jedno i to samo, bo z wszystkich prawie romantycznych jego dni składa się niemal wyłącznie z różowych, karma-

5] zysownych, zwykle paryjowszych kart miłosnych. On żył dla miłości i przez miłość.

Pewien krytyk wyraża się, że po przeczytaniu tej książki sława Byrona rozwiewa się jak bańka mydlana, rozbija się o szereg „bezwzględnych, bezserowych spraw miłosnych". Romansów jego nie można porównywać z wysoką miłością, bo zachodzi między temi taka różnica, jak między duszącem powietrzem brudnego pokoju a ożywczem tchnieniem gór niebotycznych. Niewątpliwie sprawy miłosne poety tego są przeważnie zmysłowe, dalekie od krainy snu i bardzo bliskie wyuzdania, wszelako nie można chyba przykładać tokcia moralizatorskiego do jednostek nieszablonowych, wyjątkowych, w których przeważnie wre wulkaniczny ogień żywiołowej potęgi. Ogół inteligencji wyrósł już z krótkich spodeniek ~~[illegible]~~ naiwnych wierzeń, że pięknie piszący człowiek jest etycznie pięknym w życiu, jest wzorem cnót. Oskar Wilde poucza tych naiwnych dowcipnie mówiąc, że „cnoty domowe mogą służyć pisarzowi za doskonałą reklamę, ale nie są znamieniem pierwszorzędnych kwalifikacji poetyckich i artystycznych." Rozumiemy, że każdego osobnika a przedewszystkiem artystę oceniać należy li tylko z fizjologicznego, naukowego punktu widzenia, jeżeli nie chcemy wikłać się w zarośla zagadek psychologicznych i utonąć — w malinowym soku czczego moralizatorstwa. W dzisiejszym wieku wiedzy ta metoda poglądowa zdobyła sobie nietylko ostrogi ale wybitną rację bytu tam gdzie jest światło.

Nie ma przecie obawy, aby sława autora „Childe Harolda" padła pod obuchem wyjawienych jego romansów i sardanapalowskich biesiad. Jeśli chodzi o miłość w pełnem słowa znaczeniu, to według pana Gribble raz jeden w życiu autor Don Żuana [illegible] kobiecie i to

6/ kobiecie ani nie czarującej wdziękiem ani nie olśniewającej brylantowym umysłem. Była nią Mary Chaworth. Chłopięca jego miłość do niej przetrwała, zdaje się, do końca jego życia. Połą-czona związkiem małżeńskim Mary nie umiała siły ani zerwać ~~z~~ węzłów tych ani oprzeć się fali uczuć Byrona. Oddała mu się, by następnie cofnąć się przed ujawnieniem tego stosunku. I tak pozostała Mari marzeniem, pieszczonem w ramio-nach, a jednak potem straconem, dalekiem. ~~Z~~ ~~[illegible]~~ Z rozdartem sercem poeta pocieszał się kobietami ~~[illegible]~~ różnorodnemi, które padały na piersi „fatalnego" mężczyzny, nie wyłączając konwencjonalnej i pełnej pruderji Miss Milbanke – późniejszej lady Byron. Z galerji jego kobiet znajdujemy histeryczki, monomanją erotyczną dotknięte białogłowy, ale także kobietę o pięknej linji duchowej – młodą hrabinę Guiccioli, która dała mu bodaj więcej szczęścia pogodnego niż stek innych kochanek. ~~A~~ poza tem podobizny ich oglądamy na ilustracjach, zdobiących książkę.

Pogodzić się z tem trzeba, że rozwichrzony, w barwny Wschód zapatrzony romantyk angielski spoglądał na kobietę jak na „Zulejkę" haremo-wą, iż pozował na władzę zastępu odalisek, który wiecznie głodny, stracił dar kochania, zatopił serce w pucharze używania. Życie jego było niby wizja wschodniego możnowładcy, lecz umiał zapłacić kuracją za nie z wytwornym zmysłem i przeczuciem artystycznem – umiał pięknie umrzeć. I w oku przedziwnej tej postaci nie ginie; mieni się ona kameleo-nowo tęczą barw wszystkich, pozostawia-jąc w duszy jakiś ton żałości, melancholji.

Słówko o pamiątkach. Minęły już nad Tamizą czasy, gdy dziś, trzy stare panny sieroty ~~dni~~ swych urozmaicały sobie wspólnem kancyprowaniem pamiątek, w których

7/ działy się wszystkie te, naturalnie bardzo przy-zwoite rzeczy, jakie z nimi działy się w życiu autorek. A ponieważ i przeciętna czytelniczka w tem samem była położeniu co spółka pisarek, więc znajdowała w książce coś z swych niezapełnianych marzeń i — powieść pełniła swe zadanie.

Minęły te czasy, lecz nie jesteśmy od nich bardzo daleko. Cała różnica między ówczesną a dzisiejszą przeciętną powieścią angielską leży w tem, że spółki powieściopisarskie wyszły z mody, bo vox populi chce, aby powieść miasto hygienicznego sentymentalizmu i skromnie awanturniczej wypadkowości zawierała obfitą przyprawę „humour'u", lekkiego jak piana szczypiącego a więc właściwości, których ze spółki spreparować nie można. Muszą one wytryskać jak fontanna z jednej indywidualności. Doskonałym wyrazem tej specyficznie angielskiej literatury ostatniej doby są n.p. „Dialogi lalek" Antoniego Hope'a.

Zresztą dzisiaj jak wczoraj przeważnie kobiety dostarczają powieści do przeogromnej czytelni londyńskiej — Mudie's Library i piszą dla kolicia w gruncie swej istoty nie wiele różniących ideowo od babek swych. Jakoż strawa przez nie dostarczana to zawsze znany roast-beef, tylko w sosie nieco pikantnym. Obok tej literatury, przeznaczonej dla ludzi, pragnących „czegoś do czytania" płynie cichem korytem beletrystyka już to realistyczna już to artystyczno-fantastyczna, a — dziwna rzecz — u nas mało znana. Tłumaczymy powieści zdawkowe lub kryminalistyczne tak wyłącznie, iż ogółowi naszemu mogłoby się wydawać, iż w tym kierunku wyczerpuje się cała angielska twórczość powieściopisarska. Nie nam tylko otworzyło

8/ o Tomaszu Hardy'm, o Jerzym Moore, o wszelkim, wykwintnym a niezrozumiałym Jerzym Meredith'cie lub wreszcie o Henryku James'ie.

Niedawno pojawiła się na półkach księgarskich w Londynie nowa powieść James'a: „Szlachetniejsze ziarno" („The Finer Grain") a ponieważ autor zażywa tam w kołach literackich zasłużonego poważania i mirw, więc każda jego książka jest niemal „wypadkiem" w ruchu literackim. Umiał on, sam do „młodych" zbliżony swą metodą pisarską, zaskarbić sobie względy plejady wybitnych pisarzy, którzy zrobili lat temu kilkanaście szlachetny wysiłek w celu wydobycia beletrystyki angielskiej z płytkich wód kramikowej produkcji i rozpoczęli wydawnictwo znanej a doskonałej „Żółtej książki" („The Yellow Book"), która jednak po niespełna trzech latach istnienia zamarła. Epilogiem jej był kwartalnik: The Savoy, wydawany przez poetę i świetnego essayistę Artura Symonsa, zasilany przez zgasłego przedwcześnie artystę Aubrey Beardsley'a, którego ogromny wpływ na malarstwo stwierdzić można nawet w ~~zal~~ pobaru Zachęty Sztuk Pięknych.

W tym ruchu emancypacyjnym, gdzie hasła artystyczne wybiły się na powierzchnię życia literackiego nad Tamizą pod flagą dogmatu: „sztuka dla sztuki", Henry James odegrał niemałą rolę. Stojąc w jednym szeregu z „młodymi", ofiarował się jako „Żółtej książce", na czele jej umieszczając jeden z swych pięknych utworów powieściowych. I w istocie jako niepośledni, subtelny psycholog, jako głęboko w życie i w duszę ludzką patrzący pisarz należy on do rodziny tych, co piszą dla inteligencji, dla sfery najwyższe kulturalnej i ~~ta~~ ideałem piękna owianej.

9/ Nie jest zupełnie jasnem, co Henry James rozumie pod „subtelniejszem ziarnem". Zdaje się, że pewną skłonność do zadziwiania, mistyfikowania i wywodzenia na manowce — skłonność, która cechuje w tej pracy jego i jego postacie. Przedstawia on nam w pięciu nowelach grono osób, które ku zdziwieniu czytelnika uwikłane w dwuznaczne i dziwaczne okoliczności. I tak Mora Montravers w noweli pod tym tytułem, samoistna, emancypowana panna dwudziestu i jeden lat licząca, która zachwiała razi pojęcia swych opiekunów, pewnego pięknego poranku opuszcza ich dom, aby — jak się zdaje — zamieszkać z młodym artystą Puddick'iem, udzielającym jej lekcji. Oczywiście przerażona ciotka biegnie do malarza w celu nakłonienia go czy przymuszenia do zlegalizowania stosunku z Morą. Wynika stąd jeszcze większe zamieszanie, gdyż Puddick okazuje się całkiem niewinnym aktorem tej komedji, w której czytelnik popada z niemal wszystkiemi osobami noweli pozostaje do końca w stanie mistyfikacji.

Inne nowele nie trzymają ciekawości naszej w takiem napięciu, ale przesyca się przez nie nić subtelnej ironii, z jaką autor odsłania zakątki myśli i uczucia swych postaci. Wyjmując z ich życia jeden moment, autor z całą wytrawnością wypróbowanego nowelisty prowadzi do niego wprost i tak nie rozpraszając jego interesu, skupi go na pointe'ę swego utworu.

Do najsympatyczniejszych pisarzy angielskich należy E. F. Benson, syn biskupa, który zadebiutował szczęśliwie powieścią „Dodo" i odtąd utrwalił swoje w literaturze stanowisko szeregiem prac. Zwłaszcza powieść „Familia Challoners'ów" zdobyła ogólny poklask. Najnowsza jego książka: „The Osbornes", przypomina pod względem tę powieść, jest niemniej zajmującą, lecz ostatecznie nieprzekonywającą. Bo Mr. Benson w rysunku bohatera ~~pusz~~cza wodze skłonnościom idealiz-

10/ -tycznym, stwarza w nim półboga i każe nam wierzyć, iż nie minęły jeszcze czasy baśni, w których mówiono: chociaż w chatce, byle z nim. Nie można wyobrazić sobie wyraźniej uwiedzionej i bezkrytycznie w życie patrzącej panny, oddającej rękę typowemu plebejuszowi i wchodzącej w odpychające pospolitością stosunki rodzinne.

Mr. William Le Queux (Kiu) przeobraża się coraz więcej w wróżbitę czy proroka. W rozgłośnej swej książce: The Invasion of 1910, wróżył Anglii napaść Niemców na W. Brytanję, opisał z ~~po~~ cenną pomocą admirała Fishera kilka bitew morskich, zniszczył flotę angielską, zagarnął hrabstwo Essex, stanął pod murami Londynu i t.d. — a gdy rok 1910 przeszedł bez strzału i wróżby się nie spełniły, poczyna fantazjować na temat rewolucji socjalnej. Tym razem przezorniejszy datę wysunął o wiele dalej, bo do roku 1935, i tak zabezpieczywszy się przed kontrolą czytelnika, który do tego czasu albo umrze albo o jego książce całkowicie zapomni, daje nam wstrząsający grozą obraz Anglii w „Nieznanem Jutrze" (The Unknown Tomorrow).

Pod wodzą Henryka Harlanda wybuchła rewolucja emancypacyjna klasy robotniczej, która wichrem przeszła ponad głową. Brutalność i wszelkie niskie instynkty wytryskają z siłą wulkaniczną. Rozszalała tłuszcza pławi się w krwi; straszne sceny mordów powtarzają się po wszystkich dzielnicach metropolji. Wkrótce jednak lud sam budzi się do uświadomienia faktu, że położenie jego w nowym porządku ~~[illegible]~~ nie zmieniło się na lepsze i — szybko rzeczy wracają ~~[illegible]~~ w dawne tory. Fantazji pana Le Queux — b. konsula brytyjskiego przy rzeczypospolitej San Marino — nikt nie bierze na serjo, lecz są one bądź co bądź oddźwiękiem rojeń wysnuwających się z teraźniejszości i mają — licznych czytelników.

M. R. H.